

Polnische
Gedichte
des
20. Jahrhunderts

Insel

Zweisprachige
Ausgabe
Herausgegeben
von
Karl Dedecius



POLNISCHE GEDICHTE DES 20. JAHRHUNDERTS

Polnisch und deutsch

Herausgegeben und übersetzt
von Karl Dedecius

INSEL VERLAG

© Insel Verlag Frankfurt am Main und Leipzig 2008
Alle Rechte vorbehalten,
insbesondere das des öffentlichen Vortrags
sowie der Übertragung durch Rundfunk und Fernsehen,
auch einzelner Teile.
Kein Teil des Werkes darf in irgendeiner Form
(durch Fotografie, Mikrofilm oder andere Verfahren)
ohne schriftliche Genehmigung des Verlages reproduziert
oder unter Verwendung elektronischer Systeme verarbeitet,
vervielfältigt oder verbreitet werden.
Druck: Memminger MedienCentrum AG
Printed in Germany
Erste Auflage 2008
ISBN 978-3-458-17407-3

1 2 3 4 5 6 – 13 12 11 10 09 08

POLNISCHE GEDICHTE
DES 20. JAHRHUNDERTS

INHALT

I	Meine treue Sprache	II
II	Melancholie der Landschaft	59
III	Schicksal, Charakter, Geschichte	101
IV	Hamlet auf polnisch	149
V	Im Hinterhof der Imperien	197
VI	Ost-West-Passagen	247
VII	Dialog mit dem Himmel	299
VIII	Wenn du gehst	343
IX	Lachkabinett	389
X	Testament	431
	Nachwort	467
	Anhang	485

Dem Andenken an Clemens Dedecius
(1953-2007)

MEINE TREUE SPRACHE

*Poesie – ist wie Blutübertragung für die Arbeit des Herzens:
Wären die Spender auch längst tot ...
so lebt ihr Blut und macht fremde Kreisläufe verwandt ...*

Ryszard Krynicki, *Poesie lebt*, 1988

ILEŻ TĘSKNOTY ...

Ileż tęsknoty, światła i lotu się składa
Na drobny wzrost ku słońcu żdźbła łąkowej trawy!
Jakiż wysiłek ziemi skrzydlaty i łzawy
Jest w chmurze, która z deszczem w jej pierś opada!

Jakaż potęga pragnień i cudu się chowa
W niedołężnej bezmocy człowieczego słowa!

1910

O WIEVIEL SEHNSUCHT ...

O wieviel Sehnsucht, Licht und Flüge sich vereinen
Zu diesem schwachen Drang des Grashalms nach der Sonne!
O wieviel Erdschweiß, aus Lust und Leid gesponnen,
Enthalten Wolken, die als Regen niederweinen!

Welche Gewalt von Wundern und von Wünschen horten
Sich in den linkisch ohnmächtigen Menschenworten!

1910

LEW PRZESZKADZA

Nie kładź na stole łapy, kiedy piszę,
nie rycz o świetle, kiedy leżę we śnie;
ten szum, co drzewa za oknem kołysze,
jest niczym; z martwych dla nas nic nie wykrześnie
i nic nie przyjdzie do nas, ku nam w gości
z tego, co mogło być ... stamtąd, z przeszłości.

Mnie pieśnią bije krew, ty mruczysz prozą
o piaskach, piaskach, wolnej karawanie,
o ciężkich słońiach, co łup wielki wiozą,
o palmach, które samum na kolanie
zgina, by złamać, lub z nich łuk napina,
by słonecznego ubić muezina.

Muezin biały ... W smukłym minarecie
są czarne wnęki, skąd jaskółek roje
muezin biały rozsyła po świecie;
tam znikło zwinne, chybkie szczęście moje,
znikło jak tamte – lecz już nie wybieży ...
Ach nie rusz, nie rusz, lwie ... niech cicho leży ...

DER LÖWE STÖRT

Weg mit den Tatzen vom Tisch, wenn ich schreibe,
brüll nicht so morgens, wenn ich träumend liege;
das Blätterrauschen an der Fensterscheibe
ist nichts; ach, nichts belebt die Totenzüge,
und nichts kommt wieder, was uns je erfreute,
was hätte sein können ... von einst bis heute.

Mir pulst das Lied im Blut, du knurrst im Gähnen
prosaisch nur von freien Karawanen,
von Elefanten, heulenden Hyänen,
von Palmen, die sich wie ein Bogen spannen,
den Muezzin, den Sonnengottpropheten,
auf Samums Knien mit ihrem Pfeil zu töten.

Weißer Prophet ... In schlanken Minaretten
sind Nester, schwarze, wo die Schwalbenschwärme
sich bis zur nächsten Frühlingsreise retten;
dort schwand mein Glück, die flügge Herzenswärme,
schwand wie die Schwalben – und es kann nicht fliegen ...
Ach, laß es, Löwe ... laß es leise liegen ...

PROŚBA O PIOSENKĘ

Jeżelim, Stwórco, posiadał Słowo, dar twój świetny,
Spraw, by mi serce biło gniewem oceanów,
Bym, jak dawni poeci prosty i szlachetny,
Wichurą krwi uderzał w możnych i tyranów.

Nie natchnij mnie hymnami, bo nie hymnów trzeba
Tym, którzy w zżartej piersi pod brudną koszulą
Czcze serce noszą, krzycząc za kawałem chleba,
A biegną za orkiestrą, co gra capstrzyk królom.

Lecz słowom mego gniewu daj błysk ostrej stali,
Brawurę i fantazję, rym celny i cienki,
Aby ci, w których palnę, prosto w łeb dostali
Kulą z sześciostrzałowej piosenki!

BITTE UM EIN LIED

Gabst du mir schon das WORT, die höchste deiner Gaben,
Mach auch mein Herz im Zorn wie Ozeane branden,
Daß ich, wie frühe Dichter, einfach und erhaben,
Im Blutsturm die Tyrannen schläge und die Granden.

Und schenk mir keine Hymnen, nutzlos sind sie jenen,
Die im verschleißnen Busen unter Schweißklamotten
Nur leere Herzen tragen, heulend wie Hyänen
Nach Brot, und hinterm Spielmannszug des Königs trotten.

Doch leihe meinem Zorn die Glut vom Höllenofen,
Bravour und Phantasie und Reime, spitz und edel,
Damit ich mit dem Feuer meiner schnellen Strophen
Auch treff, in die ich ziele, mitten in die Schädel!

KSIĄŻKA

Nazywam ją po prostu Księgą, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobjętością transcendentu, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi załsnąć, zapachnieć, spłynąć tym dreszczem przestachu, przeczuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka przekracza pojemność naszego zachwytu. Cóż pomógłby patos przymiotników i napuszystość epitetów wobec tej rzeczy bez miary, wobec tej świetności bez rachuby. Czytelnik zresztą, czytelnik prawdziwy, na jakiego liczy ta powieść, zrozumie i tak, gdy mu spojrzę głęboko w oczy i na dnie samym załsnę tym blaskiem. W tym krótkim a mocnym spojrzeniu, w przelotnym ściśnięciu ręki pochwyty on, przejmie, odpozna – i przymknie oczy z zachwytu nad tą recepcją głęboką. Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?

Księga ... Gdzieś w zaraniu dzieciństwa, o pierwszym świetle życia jaśniał horyzont od jej łagodnego światła.

DAS BUCH

Ich nenne es einfach BUCH, ohne weitere Bezeichnungen und Epitheta, und es ist in dieser Enthaltbarkeit und Beschränkung ein ratloses Seufzen, eine stille Kapitulation vor der Unermeßlichkeit der Transzendenz, denn kein Wort, keine Anspielung kann so funkeln, duften, mit der Angst, dem Vorgefühl dieses namenlosen Dings durchschaudern, dessen erster Geschmack auf der Zungenspitze schon das Fassungsvermögen unseres Entzückens überschreitet. Was hülfe das Pathos der Eigenschaftswörter und die Aufgeblasenheit der Epitheta gegen dieses Ding ohne Maß, gegen diese unberechenbare Herrlichkeit. Schließlich wird der Leser, der echte Leser, mit dem unsere Erzählung rechnet, auch so verstehen, wenn ich ihm tief in die Augen schaue und auf deren tiefstem Grund diesen Blitz funkeln lasse. Durch diesen kurzen, aber starken Blick, durch meinen flüchtigen Händedruck wird er begreifen, annehmen, wiedererkennen – und die Augen schließen vor Entzücken über den tiefen Empfang. Denn halten wir uns nicht unter dem Tisch, der uns trennt, alle insgeheim an den Händen?

Das BUCH ... Irgendwo im Morgengrauen der Kindheit, beim ersten Sonnenaufgang des Lebens wurde der Horizont von einem sanften Licht erleuchtet.